

Tad9: 1977

Z propagandą to jest tak: na początku język propagandy tryska optymizmem



Z propagandą to jest tak: na początku język propagandy tryska optymizmem

„My, Polacy, mamy problem z wolnością. Umiemy za nią tęsknić i o nią się bić, ale nie potrafimy się nią cieszyć. Gdyby część polskiej prawicy brać poważnie, musielibyśmy uznać, że nadal tkwimy pod zaborami, w "niemiecko-rosyjskim kondominium", że targowica, zdrada i hańba! Uszy puchną, głowa boli. Nie wolno poddawać się propagandzie klęski i narodowemu masochizmowi. Nie ma zgody na sączenie jadu i obrzydzanie ojczyzny - zwłaszcza że za oknem wreszcie wiosna” - tako rzecze Jarosław Kurski i to na łamach „Gazety Wyborczej”. Wybrzydzenie na „obrzydzanie ojczyzny” na łamach akurat tego pisma

może wydawać się wręcz jakąś perwersją, ale to pozorny paradoks, ponieważ Kurski „ojczyznę” nazywa III RP. Dobrze, ale o co w tym wszystkim chodzi? Już wyjaśniam: chodzi o wyciągnięcie z domów „patriotów III RP” - Kurski nagania uczestników do operacji „Orzeł może!” firmowanej przez Bronisława Komorowskiego. Operacja potrwa blisko miesiąc (2 maj – 4 czerwca), a ma ją rozpocząć „wielki marsz”, na czele którego nieść będą białego orła z czekolady. Cóż, czekoladowy orzeł na koniec zostanie pewnie zeżarty, a następnie...., ale mniejsza o to, co będzie następnie, niemniej chciałbym zobaczyć przedstawicieli establishmentu III RP pożerających orła, bo byłby to obrazek o dużym potencjale symbolicznym. Ale skończmy te niesmaczne(?) żarty, bo w tle mamy rzecz poważną: oto establishment najwyraźniej naraz potrzebuje obywateli do czegoś więcej, poza płaceniem podatków. Jest to dający do myślenia symptom, albowiem potkomunistyczna „elita” jest w zasadzie samowystarczalna - stworzyła sobie w swoim kółku własne „społeczeństwo obywatelskie” i reszta ludności jest jej zbędna. Ostatecznie kulturę uprawiają znajomi „Obywatele Kultury”, praw człowieka strzeże zaprzyjaźniona „Fundacja Helsińska”, oburzają się koncesjonowani „Oburzeni”, okupują patentowani „Okupujący”, a otwartość ma w pieczy zakumplowana „Otwarta Rzeczpospolita”. itd., itp., słowem - „swoj do swego, po swoje”. W wymiarze wewnętrznym takie „społeczeństwo obywatelskie” świetnie zaspokaja potrzeby towarzyskie, w wymiarze zewnętrznym sprawdza się nieźle jako narzędzie zaczepno-obronno-pedagogiczne, więc nie ma co przesadzać z organizowaniem mas, zwłaszcza, że masy mogłyby się zorganizować przeciw establishmentowi. Jest to straszna wizja i dlatego „modernizacją” zwie się więc w III RP działania na rzecz rozmontowania tych platform, na których mogłoby dojść do antyestablishmentowej mobilizacji, nie ważne przy tym, czy idzie o platformę narodową, religijną, „klasową”, czy wszelką inną, albowiem - zaprawdę powiadam wam - gdyby Polacy na platformę mobilizacji

wybrali sobie tradycje spółdzielni mleczarskich, to w „GW” zaczęliby drukować teksty o tym, jakie to straszne rzeczy znajdowała w przedwojennych mleczarniach ówczesna inspekcja sanitarna.

Tak jest w okolicznościach zwanych przez establishment „normalnymi”, zdarzają się jednak chwile, w których postkomunistycznej elicie jednak przydałoby się poparcie masowe i spontaniczne. Dość przypomnieć sobie lata 2006-2007, kiedy to nieboszczyk Geremek głowił się jak wywabić ludzi z domów, a „Wyborcza” drukowała frazy typu: „ W dojrzałej demokracji podejmowanie decyzji politycznych "pod presją" protestujących jest częścią procesu politycznego. Polityki nie uprawia się tylko w parlamentach. Często uprawia się ją na ulicach”. Przeczytacie dziś coś takiego „Gazecie Wyborczej”? Nie przeczytacie, bo to są wyjątki, występujące wtedy, gdy ktoś obcy zakręci się w okolicach bezpieczników systemu, takich jak URM, prezydentura, NBP, media publiczne, Trybunał Konstytucyjny, co ważniejsze kurki z pieniędzmi itp., itd... Słowem – kiedy „zagrożona jest demokracja”. Dotąd jednak, takie alarmowe sytuacje występowały w III RP od wielkiego dzwonu, powiedzmy – raz na 15 lat. A tu proszę: od ostatniego alarmu nie mija nawet dekada i proszę: establishment znów pożąda widoku sojusznicych tłumów na ulicy! Można z tego wnosić, że spodziewają się tam czegoś nieprzyjemnego. Czasem to pożądanie przyjaznej masy przybiera zresztą formy wzruszająco-groteskowe, jak to było w przypadku „Euro 2012”, kiedy mrowiu ludzi w „strefach kibica” przypinano na siłę kontekst polityczny. I tak na przykład w „Polityce” mogliśmy wyczytać, że w czasie „Euro”: „...na placach, ulicach i w pubach manifestowały swoją radość i przyjazność grube tysiące nie tylko przecież kibiców, po prostu ludzi pragnących być jeszcze bardziej w Europie z innymi, a nie maszerować w nienawistnych pochodach albo przeciwko, albo za czymś”.. Więc niby

było wesoło, ale jednak w języku panów z „Polityki” załagał się robak schyłku. Bo z propagandą to jest tak: na początku język propagandy tryska optymizmem – jest postęp, są sukcesy, jeszcze jeden wysiłek i będziemy u kresu drogi... Z czasem pojawiają się przejściowe (rzecz jasna) trudności, język puchnie, mnożą się przymiotniki - sukcesy stają się „jeszcze większymi” sukcesami, a postęp - „dalszym postępem” i to dokonywanym na przekór odrodzonym naraz wrogom, którzy szydzą i judzą (opozycjoniści bowiem zwykle „szerzą podejrzliwość grają na lękach, wzbudzają wrogość do obcych i inaczej myślących, wyrzucają oponentów poza nawias polskości”, oraz „chcą jątrzyć, siać niepokój i nieufność” - by zacytować pana Stasińskiego z „GW” oraz pana Karkoszkę z warszawskiego KW PZPR). Propagandy etap ostatni to już ordynarna „realpolitik”: wiemy, że jest do dupy, ale takie są prawda, uwarunkowania...

Tak to wyglądało za PRL-u, a nieodrodna córka „Polski Ludowej” jaką jest III RP zdaje się podążać za panią matką i jesteśmy chyba na etapie „dalszego postępu”, skoro okazuje się, że w Europie można nie tylko być, ale też „być jeszcze bardziej”. Swoją drogą ciekawe jak wygląda najwyższy stopień „bycia w Europie”, ale może i tego się wreszcie dowiemy. Choć niekoniecznie, bo znaki wskazują, że establishmentowi zaczynają przyspieszać zegarki i szybko możemy znaleźć się na etapie „realpolitik”. Oni zwyczajnie mają coraz mniej do zaoferowania, albowiem kończą się zasoby łagodzące odbiór postkomunizmu, a szerokiej warstwy społecznej (owej mitycznej „klasy średniej”) zainteresowanej w podtrzymywaniu systemu jak nie było, tak ni ma... Co prawda „klasą średnią” ogłoszono tzw. lemingi i z ust postkomunistycznych publicystów wyrzywa się coraz częściej krzyk: „Lemingi! Brońcie nas!!”, ale przecież wszyscy wiedzą, że to lipa. Normalna klasa średnia ma bowiem to do siebie, że jej sytuacja jest ugruntowana i stabilna, a o lemingach tego akurat powiedzieć się nie

da i niech tylko kryzys mocniej zajrzy im w oczy, a pewnie z miejsca odwrócić się do III RP kuprami. Jest to więc sojusznik niepewny i warunkowy, no, ale i po takiego warto sięgnąć w niepewnych czasach. Ano, cóż - „zobaczmy kto ma lepszego wuja”, mawiał oberlejtant von Nogay w „Przygodach dobrego wojaka Szwejka”, a ja powiem: zobaczmy, kto ma lepsze tłumy...

PS

A skąd ten „1977” w tytule” - zapyta jakiś czytelnik. A tak mi się aktualna sytuacja kojarzy z tym, mniej więcej rokiem, choć analogie historyczne to zawsze rzecz dość ryzykowna.

Tad 9

Tekst opublikowany na Salon24.pl